

Wiech
Opowiadania przedwojenne

Tom I
Głowa spod łóka

Wiech

Stefan Wiechecki

Głowa spod łóka

czyli
opowiadania ydowskie

Zebrał i opracował
Robert Stiller

vis-à-vis
etiuda

Kraków 2023

Mniej znane realia i wyrażenia
objaśniono w słowniczku na stronach 201–208

Wolę książkę, która ma niepoważne zamierzenia i poważne osiągnięcia, od dzieł, które mają poważne zamierzenia i niepoważne osiągnięcia.

Antoni Słonimski

Uważam Wiecha za jednego z najlepszych polskich pisarzy współczesnych, niewyczerpanego w pomysłach i zajmującego wyjątkową postawę moralną. O Wiechu można nawet powiedzieć, że jest wielkim filozofem.

Michał Choromański

Wiech to gentleman, szalenie dowcipny, nigdy jadowity, często wzruszający. Jego felietony są wynikiem obserwacji bardzo uważnej, pracy w swoim rodzaju całkiem twórczej i na wskroś oryginalnej.

Maria Jasnorzewska

Fotogeniczny narciarz

Narty to najpiękniejszy sport zimowy. Nie ma chyba cudniejszego widoku nad zręcznego narciarza, zjeżdżającego w zawrotnym tempie ze stromego zbocza pokrytej białym całunem góry.

Ale narciarz w zatłoczonym tramwaju mniej mile jest widziany.

Toteż pasażerowie pewnego wozu linii nr 9 bez entuzjazmu przyjęli do swego grona młodego sportowca, zaopatrzonego w kilkumetrowe deski, bambusowe kijki, owiniętego w linę zakończoną hakiem oraz obutego w ciężkie kapcie z bawolej skóry.

Sportowiec ulokował narty na pierwszej platformie, zleciwszy energicznym tonem dozór nad nimi jakiemuś szczupłemu blondynowi, a sam pędem pośpieszył na tylny pomost, by przepisowo wsiąść do wagonu. Ponieważ blondyn nie wydawał mu się osobistością zbyt pewną, dziarski narciarz cwałował przez wóz, potracając współtowarzyszy podróży, depcząc po nogach i zahaczając o nich swymi sportowymi instalacjami.

Urok sportu jest tak wielki, że pasażerowie znosili te szkany bez głośniejszego szemrania, jednak znalazł się między nimi pewien starszy pan, który nie wykazał najmniejszego zrozumienia dla roli ćwiczeń fizycznych w rozwoju tęczyzny narodu i szarpnięty hakiem za kamizelkę krzyknął:

– Te, wariat, gdzie się pan pchasz z tom kotwicom. W ogóle kto pan jesteś, kominiarz, tragarz, cieśla czy insza cholera?

– Proszę się obliczać ze słowami! Narciarza idziesz pan widzieć przed sobą. Za mistrza jestem, co się dotyka zimowe artykuły sportowe, a mianowicie zjeżdżanie z leśnego pagórka, tudzież skok i wyskok. Jako człowiek ze starą datą pan nie rozu-

miesz tę wielką ideę, która mnie zmusza się męczyć, skakać, rezykować życie i wozić z tramwajem artykuły sportowe!

– W taki sposób nie rozumiem, gdzie pan z tym całym majdanem dziewiątką jedziesz? Na Krakowskim Przedmieściu śniegu nie ma, więc po czym pan będzie na tych deskach ganiał?

– A kto pana powiedział, że ja jadę jeździć? Do fotografii się udaję!

Starszy pan zbladł, potem się zaczerwienił i zawołał:

– Ach ty lebiego, linką strażacką okręcona, to ty do fotografii jedziesz i cały tramwaj męczysz? Palta hakamy ludziom rozdierasz. Jazda na piechotę!

Z tymi słowami wyrzucił sportowca na ulicę.

Powstała na tym tle sprawa sądowa o gwałt na osobie pana Moszka Kaca. W wyniku konserwatywny staruszek, pan Ksawery Rybka, skazany został na 30 złotych grzywny.

Mały żigolo

Pani Guta ubóstwia tańce. Przepada za nastrojem panującym w dansingu. W każdym fordanserze widzi małego żigolo, skrzywdzonego przez życie.

Nic też dziwnego, że łzy zakręciły się jej w oczach, kiedy pewnego razu w restauracji spojrzała na siedzącego samotnie bladego młodzieńca w dobrze skrojonym smokingu.

Gorzki grymas wykrzywił ładne jego usta.

Dochodziła pierwsza. Orkiestra grała kariokę.

Pani Guta pochyliła się do męża, operującego z zajęciem leszcza z wody.

– Tak mi coś brak, Maks!

– Dołóż sobie kartofelków. W ogóle idź coś. Cała porcja liczona.

– Mówię apropos dusza. Tęsknicę czuję. Mam pragnienie podpuścić się w płas. Podaj mnie ramię.

– Gucia, zostaw. Daj mnie jeść. Przede wszystkim kariokie jeszcze nie umiem, a niezależnie tam siedzi ten plajtownik Rabinowicz, się będzie śmiał. Mogę cię wynająć szmondaka?

Tu czuły mąż skinał na kelnera.

– Panie, co jest? Moja żona nie ma z kim tańczyć! Od czego są baletniki? Podawaj pan jednego.

W chwilę później smutny żigolo skłonił się pani Gucie i zaczął tańczyć. Ale fordanser robił to jakby z urzędu, nie zwracając najmniejszej uwagi na partnerkę. Pani Guta postanowiła go rozruszać.

– Pan mnóstwo zmuszony byłeś przecierpieć w życiu?

– Prawdopodobnie tak jest.

– Żal mi pana. Taki ładny chłopczyk i taki coś smutny.

– Co mogę zrobić, pójdę się śmiać, z czego? Za wiele? Za pięć złotych i kolację?

– Mniemam, że pan nie zawsze byłeś fortancerzem. Wyglądasz pan coś lepszego!

– Zgadliście, Lipsztajnowa.

– Co znaczy Lipsztajnowa, pan mnie znasz?

– Co za pytanie? Z tej samej branży jestem. Trykotaże. Za subiekta się zatrudniałem w firmie „Rozenblat i Feinkind”. Kryzys, plajta i paszoł wont na bruk, na zbity łeb. Z powodu więc byłem pierwszy tangownik na sali Wajnmana, Pańska 37, dzisiaj tańczę i się martwię.

– W ogóle, czy natomiast detalicznie?

– W ogóle z powodu to nie jest życie dla kupca; detalicznie mam jutro licytację, zabierają mnie tego smokinga.

– Suma?

– Dwieście złotych prócz kosztów procesu. Nie tupcie, Lipsztajnowa, karioka nie jest oberek.

Pani Guta, wzruszona opowieścią, postanowiła prosić męża, żeby pożyczył biednemu żigolo dwieście złotych na pięć procent w stosunku miesięcznym.

Pan Maks Lipsztajn nie chciał na razie o niczym słyszeć, lecz w końcu zmiękł i dał.

Oczywiście w terminie pan Beniek Grynszpan pieniędzy nie zwrócił.

Pani Guta mile wspomina małego żigolo, ale jej mąż wprost przeciwnie, zaskarżył go do sądu grodzkiego i na zasadzie uzyskanego wyroku zajmie prawdopodobnie nieszczęsny smoking.

Tak się przynajmniej w sądzie odgrażał.

To jest życie!

Koszerny kozak

Koszerne zakłady gastronomiczne rzadko bywają widow-
nią tak zwanych szaleństw. Goście piją przeważnie niewiele, za
to dużo i głośno mówią oraz jedzą.

Nic tedy dziwnego, że niesłychaną sensacją w znanej wśród
smakoszów restauracji przy ul. Zamenhofs wywołał nieduży bru-
net w rogowych okularach, wypijając pięć kieliszków wódki do
jednej gęsiej wątróbki.

Ale to był dopiero początek; w chwilę później tajemniczy
gość przesiadł się do największego stolika na środku sali i skinął
na kelnerów.

– Już pan podawa pipek z farfelkami, tudzież boczek z per-
liczki, oraz niezależnie golonkie od indyka z grochem piure! Się
rozumie samo przez siebie, mnóstwo alkoholu czyli wódki, psia
krew, wyborowej, cholera ciężka! Się bawię, się pragnę szaleć.
Już pan skaka do kuchni tam i z powrotem, bo w tę chwilę pójdę
rozbić lustro za sto dwadzieścia złotych z butelką szampana
w małe drobnostki, że o skleić nie będzie mowy!

Michał Fiedorowicz Szelechow się nazywam. Ja jestem
sztabs praporszczyk lejeb gwardii najcięższej artylerii. Najwięk-
szy ruski książę i petersburski kozak! Pan wiesz, co ja mogę zro-
bić? Przestrzelić z rewolwerem bufet, tudzież bufetowej, to jest
dla mnie można powiedzieć drobna szczegółą, takie coś nic.

Gospodarz lokalu, pan Dawid Zimorodek, słuchał z prze-
rażeniem wynurzeń niezwykłego gościa, ale widząc, że ten nie
wprowadza swych pogrózek w czyn, postanowił obrócić wszyst-
ko w żart.

– Wasza książęca jegomość tylko chce mi tak przestraszyć,
żeby wszystko było korekt punktualno podane i rachunek nie-
drogi. Figielman kochany, zabawidamek szanowny, koszerny
kozak!

Tu właściciel restauracji tak się rozbawił, że dał gościowi
lekką sójkę w bok.

Nagle nastąpiło coś nieoczekiwanego.

– Kogo pan poszłes piknąć w klatki piersiową?! Samego
najpierwszego pogromszczyka! Z kim się pan odważasz żarci-
kować? Ja cię pokażę, gdzie trawa rośnie!

Tu książę Szelechow dobył rewolweru i począł zeń łupić raz koło razu. Co było dalej, nie da się opisać. Dość powiedzieć, że lokal nagle opustoszał, a już w chwilę później został otoczony przez posterunkowego policji.

Książę Szelechow po wylegitymowaniu okazał się panem Mońkiem Zalcem, statystą scen żydowskich.

Tego wieczoru rzeczywiście wykonywał niemą rolę księcia Szelechowa w krwawym dramacie z dziejów carskiej Rosji pod tytułem „Der ruskij maładiec”. Tak się nią przejął, że zabrawszy z rekwizytorni pistolet ze ślepymi nabojami wystrzelał cały magazyn, narażając dyrekcję na stratę 2 złotych 50 groszy.

Rzecz oczywista, stracił posadę, a w dodatku za awantury skazany został przez sąd starościński na trzy dni aresztu.

Zemsta górala

Karnawałowa noc w sali tańca Blajmana przy ul. Franciszkańskiej pieniała się humorem i napojami gazowymi. Fruwały serpentyny, szalała poczta francuska, doręczająca setki listów na godzinę. Młodzież hasała ochoczo, starsi panowie spokojnie ogryzali szprotki w bufecie. Wszędzie uwijali się kozacy, obepolicmajstrzy i kontuszowa szlachta. Ale prawdziwym królem zabawy był młody góral tatrzański pan Beniek Berlinerszpic.

Tańczył zbójnickiego, wywijał ciupagą i uwodził pannę Ritę Cwajfuszerównę, posażną jedynaczkę króla branży galanteryjnej, choć każda poczta dostarczała mu moc liścików od innych piękności, reprezentujących nie mniej poważne firmy handlowe.

W powodzi różowych i niebieskich sekretników wyróżnił się swą formą i treścią jeden, który opiewał, co następuje:

Szanowny Panie Be!

*Za górala zakopiańskiego być – to pan jesteś,
z ciuciupagą machać – to pan możesz, do hop! hop! wołać
to pan jesteś pierwszy maładiec, ale do wykupić weksel*

*na 50 zł z pierwszym żyrem Przepiórki i drugim żyrem
Dziewczepolskiego to cię nie ma, zimny łobuz jeden!*

*Skoro o wiele za 15 minut ja nie zobaczę te pieniądze,
stary Cwajfuszer stoi tu koło mnie w bufecie i zje
wątróbkę, to ja już nie mogę go to wszystko opowiedzieć,
nie?*

Z poważaniem Nr 53

Młody góral przeczytał list, zmarszczył brew i wydobyw-
szy z kieszeni guńki blok handlowy oraz kopiowy ołówek, na-
kreślił szybko:

Szanowny Panie Nr 53!

*Nie szkodzi, że pana nie znam, ale z powodu
obrażałeś pan można powiedzieć dzikiego juhasa,
nie zazdraszczam się z pańskim pyskiem.*

*Z góralskiem poważaniem
Jontek Trzaska-Berlinerszpic*

Młody gazda zakleił sekretnik, wrzucił go do pudełka od
kapeluszy zastępującego skrzynkę pocztową i puścił się w płas.

Kiedy przebiegał w tańcu obok bufetu, rzucił okiem na przy-
szłego swego teścia, który kończył właśnie wątróbkę. Obok stał
jakiś łysy o nieprzyjemnym wyrazie twarzy pan i coś mu opo-
wiadał. Pan miał w klapie Nr 53.

Zagrała zbójnicka krew w Trzasce-Berlinerszpicu. Przepro-
sił na chwilę tancerkę, podszedł do nieznajomego pana i rzekł
groźnie:

- Szanowny Panie En.
- Co znaczy En?
- Znaczy nieznajomy mi! Czy otrzymałeś pan mojego lista?
- Owszem, jestem w posiadaniu takowego, ale ja prosiłem
o walutę.
- A w mordę pan nie chcesz?
- Kto chce?

– A czy pan wiesz, że ja jestem pierwszy taterman, co się dotyka wspinać i wypinać na Gąsienicową Halę, tudzież inne schroniska i pensjonaty zakopiańskie?

– Mnie to nie obchodzi, ja mam sklep w Hali Mirowskiej i proszę płacić zobowiązania, inaczej nie jesteś młody góral, tylko stara świnia!

Rzecz prosta, że na taki komplement nie pozostawało panu Berlinerszpicowi nic innego jak kropnąć pana En dwa razy ciupagą w łeb. Niesforny wierzyciel przewrócił się i wpadł w garnek z koszmernymi parówkami na gorąco.

Zajście to oparło się o sąd, gdzie dziarski góral otrzymał siedem dni aresztu, mimo iż weksel był grzecznościowy i powinien go być wykupić pierwszy żyrant Przepiórka.

Czek pewniejszy!

Człowiek szanujący swój podpis zawsze woli dać weksel niż czek. I tak trzeba zapłacić, a w razie czego za weksel idzie się do protestu, a za czek do kryminału.

Z drugiej znów strony, jeśli już brać, to raczej czek niż weksel, z tych samych właśnie powodów.

Powyższe względy sprawiły, że panowie Salomon Zalczpilmann i Dawid Kukawka długo nie mogli dojść do porozumienia. Pierwszy chciał dać weksel, a drugi chciał wziąć tylko czek.

– Panie Zet, ja wiem, że pan jesteś porządny kupiec i pan tego weksla wykupywał by absolutnie. Ale jak ja mam w kieszeni pańskiego czeku, to jest wszystko jedno, jakby miałem pana we więzieniu i jestem spokojny.

– Ale ja jestem niespokojny.

– Wobec powyższego ja zabieram towar z powrotem.

– No, masz pan już ten czek i daj mnie pan żyć.

Pan Kukawka, otrzymawszy czek na 500 złotych, grymasił trochę, że nie ma na nim pieczętka BRAK POKRYCIA lub RACHUNEK ZAMKNIĘTY, wobec czego dla zdobycia jednej z tych pieczęci będzie musiał stać w ogonku przy kasie banku, co do przyjemności nie należy. Najlepszy jest czek już gotowy:

o ile wystawca nie płaci w umówionym terminie, idzie się prosto do prokuratora, bez zwracania sobie głowy z bankowymi formalnościami.

Ale trudno! W tych ciężkich czasach kupiec musi iść na wszystko, żeby zbyć trochę towaru.

Toteż pan Kukawka, zdobywszy po miesiącu na czeku pieczętą BRAK POKRYCIA, przyszedł do swego dłużnika po odbiór należności. Jaki był skutek tej wizyty, odmalował w dosadnych barwach przed sądem grodzkim przy ul. Zielnej, gdzie sprawa w końcu trafiła.

– Jak ja przychodziłem do pana Zalczspilmana z tem cze-kiem, to ja się wcale nie spodziewałem, że on mnie da gotówkę. Po prostu chciałem się dowiedzieć, kiedy mam przyjść jeszcze raz: czy na drugi czwartek, czy na trzeci poniedziałek, czy po pierwszym, czy przed piętnastym, zwyczajnie jak w handlu.

Ale pan Zalczspilman mnie nie powiedział, kiedy ja mam przyjść, tylko zabrał tego czeka i dał mnie pięć inne чеки po 100 złotych. On mówił, że go będzie lżej płacić.

Ale się zrobiło jeszcze ciężej. To on mnie zabrał te pięć чеки i dał za to dwadzieścia po 25 złotych.

Potem znowuż zamienił ich na sto sztuk po 5 złotych.

Ale ciągle nie było go lżej, to z powodu ja się bałem, że on mnie da w końcu tysiiąc чеки po 50 groszy, ja poszłem do pana prokuratora.

To trudno, ja nie mogie żyć ciągle z obiecanką cacanką, panie Zet!

Sąd wysłuchawszy tragedii cierpliwej Kukawki, skazał pana Zalczspilmana na 100 złotych grzywny gotówką.

Wagon dla palących

– Pfu! Wytrzymać nie można w tym tramwaju. Co za ohyda! Udusić się można. Istna wędzarnia – narzekała głośno w przy- czepnym wagonie tramwaju nr 16 jakaś pani w modnym futrze *agneau rasé*. Uwagom tym towarzyszyły wymowne spojrzenia,

kierowane w stronę dwóch palących panów, siedzących wprost niej.

Namiętni palacze nie reagowali na te docinki, tym skwapliwiej otaczając się kłębamii dymu.

– W dodatku nie rozumiem, jak można palić taką ohydę. To chyba tarta słomianka.

– W każdym bądź razie nie spod paninych drzwi. A w ogólności nie wyrażaj się pani o państwowem wyrobie, nie obrażaj tureckiego tytoniu w rocznicę odsieczy Wiednia, bo to i nieładnie, i pretokólik można zestawić, na trzy miesiące więzienia z zamianą na pięć tysięcy złotych grzywny – odparł jeden z palaczy.

– Armiejskie kadzidło pójdziemy dla pani szanownej palić, tak? – poparł go drugi nałogowiec.

– Jednak mógłby pan puszczać dym w bok, a nie tak dmuchać komuś prosto w twarz.

– Wypuścić dym z boku? Którędy, się zapytam? Za wybryka natury, za indiańskiego fakira, co go się dymi z ucha, się zostanę, tak? Dlaczego? Dlatego, że jednej pani się tak spodobało? To ja jeszcze nie mogę.

– Kto lubi świeże powietrze, powinien wierzchem na koniu jeździć, a nie w tramwaju – dodał pierwszy pan.

– Uj, nie mogię, uj figielman, uj kawalkarz! Uj! można co prawda popękać ze śmiechu! Już widzę tej pani skakać na wyścigowego konia i jechać z nim do cukierni na szklankie herbaty.

Zestawienie było istotnie bardzo zabawne. Reszta publiczności, wyobraziwszy sobie pasażerkę w karakułach na wyścigowym koniu, nie mogła się powstrzymać od hałaśliwej wesołości.

Obrażona dama zaczerwieniła się z oburzenia, zerwała z miejsca i chwyciła autora fantazji o wyścigowym wierzchowcu za nos. Trzeba dodać, że był to organ powonienia niezwykle rozwinięty, toteż przytrzymanie go w rękę przez kilka minut nie należało do rzeczy zbyt trudnych. Wolną ręką, uzbrojoną w torebkę, rozzłoszczona niewiasta waliła drugiego swego wroga, gdzie się dało.

Oczywiście tramwaj został zatrzymany, a obaj panowie wydarci z rąk straszliwej mścicielki.

Epilogiem tego zdarzenia była sprawa w sądzie grodzkim, gdzie pani Jadwiga Z. za podrapanie nosa panu Benjaminowi Kukielce skazana została na 30 złotych grzywny.

Stój, cipuchna!

Było to przed świętami Trąbek. Pan Aron Wajskugel, kupiec branży trykotażowej, wybrał się na Żelazną Bramę, by kupić odpowiednią na uroczyste dni gąskę.

U pierwszego zaraz przekupnia, którym był, jak się potem okazało, pan Majloch Szpic, wynalazł odpowiedniego na pieczonego ptaka.

– Co pan chcesz za ten kurczak? – zapytał dyplomatycznie pan Wajskugel.

– Ten byk, ten haman, jak dla pana potrzebuje kosztować dwanaście złotych.

– Ale ostatnio, ile pan pójdziesz z tych dziesięciu złotych opuścić?

– Co mogę z tych jedenaście złotych i pięćdziesiąt groszy opuścić? Nic. Patrz pan na tę szylę – zachwalał gęsiarz, mocując się z machającym skrzydłami ptakiem.

– Na co mnie siła! Garkowienkie nie idę kupić, gęś potrzebuje na wątróbkę i szmalec. Uj, to ona jest chuda!

– To ona jest chuda? Kto jest chudy? – oburzał się pan Majloch, demonstrując gęś w powietrzu.

W tej chwili nastąpiło coś nieoczekiwanego. Przyszła pieczeń wyrwała się swoim wrogom i uderzywszy potężnie skrzydłami wzleciała nad targowiskiem, po czym opadła między straganami.

– A sof! Sprzedane! Dawaj pan już te dziesięć złotych i łapaj pan swojej gęsi.

– To pan jej łapaj, ja jeszcze nie kupowałem, teraz złamane pięć złotych nie dam! – krzyczał pan Wajskugel, ale głos zamął mu w gardle, gdyż dostrzegł, że pan Szpic wyrwał mu z ręki monetę 10-złotową, przygotowaną na kupno, i najspokojniej schował ją do kieszeni od kapoty.

Z rozpaczą w duszy puścił się tedy pan Aron w pościg za oddalającą się gęsią.

Zagrożony przedwczesnym zgonem ptak szybował ponad straganami, roztrącał przekupki, przysiadł na głowach handlarzy jabłek i zrywał się do dalszego lotu.

– Cip! Cip! Stój, cipuchna! – krzyczał pan Wajskugel, ale to nic nie pomagało.

Do pościgu przyłączyło się kilku naraz przechodniów i skutek był taki, że otoczona ze wszystkich stron gęś ktoś po prostu buchnął. Zniknęła jak kamień w wodzie.

Wówczas pan Wajskugel uznał całą transakcję za przymusową i zaskarżył gęsiarza do sądu o przywłaszczenie 10 złotych.

Nie spodziewał się widocznie pan Majloch pomyślnego dla siebie wyroku, bowiem przed samą sprawą zwrócił klientowi 10 złotych, dodając mu jeszcze tytułem rekompensaty za stracone w pościgu zdrowie sporego kurczaka. Wobec powyższego sąd grodzki sprawę umorzył.

Urok wątróbki

– Co pan tu robisz, panie Dzwonko? – zagadnął swego przyjaciela pan Gliksman, spotkawszy go w miłej, choć skromnie umeblowanej poczekalni sądu grodzkiego przy ul. Złotej.

– Co za pytanie? Co się robi w sądzie? Się czeka! – odrzekł chłodno pan Dz.

– Na ile?

– Co znaczy na ile?

– Na ile miesięcy się czeka?

– Kto?

– Pan.

– Ja? Z powodu?

– Z powodu ewentualny wyrok.

– To jeszcze nie wiem.

– Ja pana powiem, tylko muszę wiedzieć, za co panu niewinnie oskarżyli. Znam tutejszą takse. Wiem, ile za co pan sędzia daje.

- Na przykład?
- Na przykład ukradłeś pan cós: mniej jak sześć miesięcy pan nie obliczaj.
- Nie, to nie to...
- Powiedzmy dałeś pan kogoś w mordę: siedem dni i obiecanka cacanka, że jak jeszcze raz się to panu trafi, to będzie dwa tygodnie.
- Tyż pan nie zgadywałeś, tu się rozchodzi o zjeść i nie zapłacić.
- Kogo?
- Co znaczy kogo?
- Kogo zjeść?
- Wątróbkie.
- Się pytam, kogo zjeść wątróbkie, psia krew, Gertnera czy ewentualnie innej restauracji.
- Blajmana na Dzikiej.
- Dlaczego pan nie zapłaciłeś?
- Z powodu mnie nie starczyło pieniędzy.
- Sprawa nie jest dobra. Miesiąc pan masz w kieszeni i jeszcze będziesz się pan u pana sędziego za szalbierza nazywał.
- Co znaczy szalbierz?
- Darmozjadek, grandus, co nie ma czem płacić, a chce hulać i podpuszczać pasa. Za to się należy miesiąc.
- Nie powiedz pan to słowo, panie Gie.
- Wołają pana, panie De.
- A szlak zoł trefn! – zaklął pan Dzwonko i pośpieszył na salę, skąd dobiegł go głos woźnego, wywołującego sprawę.
- Stanąwszy przed obliczem sędziego, pan Dz. oświadczył ze skrucą, że poczuwa się do winy, ale ma na swoje usprawiedliwienie następujące okoliczności łagodzące:
- Ja rzeczywiście poszłem do tą restaurację na porcję gęsiej wątróбки z cebulką, ale się okazało, że jedna porcja to jest coś nic. To ja zjadłem drugą. A później to jeszcze czwartą też. Bo to nie była wątróbka, ale można powiedzieć delicja.
- Człowiek jest tylko człowiekiem. Niech sobie pan sędzia wyobraża ten zapach, ten smak, ta świża cebulka i niedrogo!
- To można nie zjeść takiej wątróбки?
- No tak, ale jak się je, trzeba płacić.

– A jak mnie zabrakło?
– Trzeba było zapłacić później.
– Ja zapłaciłem na drugi dzień. Ale o tem już się dowiedzieli i pan prokurator, i pan sędzia śledczy, i konna policja, i ja wiem kto jeszcze?! Dlatego jest sprawa.

Sędzia sprawdziwszy, że rachunek istotnie jest uregulowany, umorzył proces, zalecając tylko panu Dzwonce, by na przyszłość mierzył siły na zamiary.

Nienawiść rasowa

Przy oknie natłoczonego przedziału ekspresu Otwock-Warszawa siedzieli wprost siebie dwaj panowie. Jeden ubrany w granatową maciejówkę, z jasnym wąsem na rumianej twarzy, przedstawiał wzorowy typ nordycki.

Drugi wprost przeciwnie i w dodatku był niemiłosiernie rudy.

Jegomość w maciejówce patrzył z prawdziwym obrzydzeniem na swoje vis-à-vis, odwracał się do okna, stękał, kręcił się niespokojnie na ławce i wzdychał, szepcząc niby to do siebie:

– Nie lubię, psia krew, rudych. Rudego spotkać przy poniedziałku, to bez cały tydzień mortus, zmartwienie i chromolone nieszczęście.

Kupiec o ognistej brodzie nie zwracał uwagi na te przyciniki, z filozoficznym spokojem poszukując czegoś w swoim uchu przy pomocy zwiniętego w trąbkę biletu tramwajowego.

Doprowadzało to do pasji aryjczyka, który zagadnął wprost:

– Panie starozakonny, czy nie może pan oddać do farby swoich rudych karakułów i nie ściągać na niewinnych ludzi nieszczęścia od poniedziałku?

– Co znaczy karakułów? Kogo pan za karakuła nazywasz?

– Pańską osobistość i to jeszcze za dużo, pudel pan jesteś, rudy pudel! Wybryk natury! Za złotówkie w bałaganie powinieć się pan pokazywać.

– Uj, żebym się nie bałem, ja by pana pokazałem, co w trawie piszczy.

– Pokaż pan! Tylko żebyś pan sam potem nie piszczał.
– Co znaczy nie piszczał, sam pan będziesz ryczał jak ten pies, hamulec jeden!

Tego pan w maciejówce nie mógł już ścierpieć, zerwał się z ławki, chwycił rudobrodego za wspaniałą ozdobę i począł walić jego głową o tabliczkę z napisem DLA NIEPALĄCYCH.

Powstał szalony tumult, rzucono się do rozbrojenia rozjuszonych przeciwników i po kilku minutach udało się to uczynić.

Kiedy pociąg dojechał do Warszawy, wrogowie spojrzeli na siebie z pogardą, wyskoczyli razem z wagonu i pędem wybiegli z peronu. Jednocześnie prawie wśród podróżnych rozlegały się krzyki przerażenia i zgrozy.

Zginęły cztery portfele, damska torebka i dwa zegarki.

Okradzeni doszli do błyskawicznego wniosku, że rudobrody i jego wróg to byli dwaj wspólnicy, złodzieje.

Puszczono się w pogoń i przy użyciu taksówki dopędzono pana w maciejówce. Okazał się nim znany doliniarz pan Antoni Piskorz, pseudonim Dzwoniec.

Rad nierad pan Piskorz musiał zdradzić nazwisko swego serdecznego przyjaciela i współnika, pana Dawida Kuperhanda. Obaj skazani zostali przez sąd grodzki na sześć miesięcy więzienia.

Dramat na balu

Pan Wiktor B., młody artysta malarz, otworzył swoją kawalerską bieliźniarkę z lustrem i wydobyl świezo odprasowany frak, arcydzieło firmy „Ratol”. Pieczołowicie zdmuchnął pył z kołnierza i ułożył starannie frak na łóżku. Tuż obok ulokował bajeczną, śnieżnobiałą koszulę, jedwabne skarpetki i lakierki, poemat. Usiadł na krzeselku, patrzył na wymienione przedmioty i puścił wodze marzeniom.

Marzył o spustoszeniach, jakie będzie szerzył wśród warszawianek na dzisiejszym balu maskowym w Szkole Sztuk Pięknych.

Zabrzmiały mu w uszach dźwięki bluesa i młody człowiek puścił się w płasy po pokoju.